

Rozmowa z Ireną Eichlerówną



ZAGRANICZNI krytycy teatralni porównują Irenę Eichlerównę z Elżbietą Bergner i Eleonorą Duse, a Bertolt Brecht, krótko i bez żadnych porównań, uważa ją za jedną z największych artystek świata.

Ten, kto widział Eichlerównę na scenie, ulega nieodpartemu urokowi tego wielkiego, niecodziennego talentu, który od razu, z chwilą ukazania się aktorki na scenie, bierze wszystkich pod swoją władzę.

Gra w tej artystyce wszystko: twarz, oczy, cała postać. Gra nawet i strój, na który np. zwraca ogromną uwagę. Lecz przede wszystkim gra jej głos... Głos o wielkiej sile, specjalnym, charakterystycznym dla niej brzmieniu i jakże rozległej skali uczuciowej... Od miękkiego, pełnego pieszczoty szepty kochanej i kochającej kobiety, do władczych tonów ufnej w swą potęgę królowej.

rocy" Merleee i inne — znamy wszyscy. Lecz dopiero gdy reż. Axer objął kierownictwo Teatru Narodowego, Irena Eichlerówna uzyskała swe właściwe miejsce. Zagrała w wielkim dramacie romantycznym Marii Stuart, osiągając szczyty artyzmu i swego wielkiego talentu.

— Jak czuje się Pani po powrocie do wielkiego repertuaru?

— Świetnie! Cieszę się ogromnie, że po tylu latach gram znów w Teatrze Narodowym i — właśnie Marię Stuart. Jest to jedna z ciekawszych ról kobiecych; a przyznać muszę, że na ogół role kobiece dają o wiele mniej możliwości aktorskich, niż role męskie. Chwilami żałuję nawet, że nie urodziłam się mężczyzną. Miałabym „większy wachlarz“ — mówiąc dzisiejszym stylem.

— Jednak opracowanie takiej roli...

W postaciach przez siebie stworzonych nie ginie, nie zatracą się, lecz pozostaje zawsze sobą. I pomimo że każda z tych postaci jest inna — w każdej z nich tkwi częśćka jej samej. Bo nie gra tych postaci, lecz gra — siebie.

I tu właśnie można mówić o pogłębianiu ról, o wzbogacaniu życia postaci scenicznych, przez nią stworzonych.

A stworzyła ich wiele.

Czy „Salome“, lub „Księżniczka Turandot“, jeszcze w okresie wileńskim, tj. tuż po Szkole Dramatycznej, czy „Panna Malczewska“ w Krakowie, lub „Kleopatra“ we Lwowie, czy też słynna w całej Polsce „Fräulein Doktor“, w sztuce napisanej specjalnie dla niej...

A były to przecież pierwsze lata jej pracy scenicznej. I to na tzw. prowincji.

Warszawa pamięta ją również dobrze jako niezapomnianą Szimencę w „Cydzie“, gdzie partnerami jej byli Brydziński, Leszczyński, Stanisławski, Zelwerowicz i in., lub w „Wilkach w nocy“ Rittnera z Węgrzynem. Grała również z Sołską, Siemaszkową, oraz Jaraczem, Osterwą, Junoszą-Stępowskim i Adwentowiczem.

A Judyta, Balladyna, Aszantka i wiele, wiele innych... Pomimo odległości lat i licznych wrażeń, których skwapliwie dostarczało nam życie w okresie wojennym, postacie te pozostaną w naszej pamięci zawsze żywe i barwne.

Huragan wojenny rzucił artystkę aż na drugą półkulę do Brazylii, do Rio de Janeiro, gdzie występowała, grając w języku portugalskim, który szybko opanowała. I tam również zbierała entuzjastyczne oklaski i entuzjastyczne recenzje, grając swoją świadcząc najlepiej o zdolnościach i talentach aktorstwa polskiego.

Aż wreszcie — tęsknota za krajem ojczystym sprowadziła ją z powrotem do Polski.

PIERWSZE drogi artystki po powrocie do kraju nie były usłane różami... Zamiast w stolicy, która na nią czekała, dostała engagement w Łodzi, gdzie dała kilka wybitnych kreacji: „Joanna z Lotaryngii“, Ruth w „Niemcach“, w Poznaniu — „Fedre“ Racine'a. Kreacje warszawskie ostatniego okresu, jak w „Profesji pani Warren“ Shaw'a, aktorka z „Ka-

— Tak. W rolę z włożyłam bardzo wiele pracy, jednak mam dzięki niej wielką satysfakcję.

— W repertuarze klasycznym jest przecież dość dużo ról o również rozległej skali.

— Wiele. Lubię np. rolę Szimeny w pełnym poetyckiego realizmu „Cydzie“, rolę, którą grałam jeszcze przed wojną w Teatrze Narodowym, lubię „Fedre“ Racine'a... Tę ostatnią grałam wprawdzie już po wojnie, ale jeszcze nie w Warszawie. W Poznaniu.

— A teraz, czy myśli Pani o jakiejś nowej roli?

— Nie. Gram Marię Stuart i — ta mi chwilowo wystarcza.

— A film? Czy nie interesuje Pani obecnie? Miała Pani przecież i w tym dziale sztuki poważne sukcesy.

— Owszem, lecz film, nawet najlepszy, nie zastąpi mi nigdy teatru, gdyż nie daje i nie może dać mi tego, co daje mi teatr.

— W jakim sensie?

— Przede wszystkim w filmie trudniej jest zachować swoją indywidualność, a po wtóre na skutek kręcenia poszczególnych scen, nie widzi się całości swojej pracy. Grając poszczególne, nieraz nie związane z sobą fragmenty, na skutek braku ciągłości, gra przeradza się czasem w zwykłą robotę aktorską. W teatrze natomiast stopniowe narastanie akcji daje mi stopniowanie przeżyć i możliwość głębszego zespolenia się ze stwarzaną przez mnie postacią. W filmie zaś robi się wszystko, mówiąc językiem szkolnym, „na wyrwyki“.

— Na zakończenie jeszcze jedno pytanie: czy wie Pani, że prócz rzeszy wielbicieli Pani talentu, ma Pani, na szczęście — bardzo nielicznych, malikontentów, którzy zarzucają Pani zbyt ni romantyzm ze szkodą dla realizmu...

— Owszem, lecz dla mnie są to ludzie z gatunku tych, co to wolą wyraźną fotografię od najlepszego portretu. Ja tam wolę portret. Ma zawsze więcej charakteru i więcej prawdziwego wyrazu. Nie twarz „na zamówienie“ do fotografii, lecz charakter człowieka! — Kończy swoją wypowiedź Irena Eichlerówna.

CEJO